

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno - literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Po pięciu wiekach

ZA MAŁO WIEMY O JAGIELLE

Pierwszego czerwca mijają lat pół tysiąca od śmierci Władysława Jagielly, więc oko zwraca się ku przeszłości i obejmuje miłośnicie tę potężną postać, która losy dwóch narodów popchnęła na nowe tory i zbudowała z ich ziem najsilniejszą i największą formację państwową współczesnej Europy.

Przypomniałszy sobie rocznicę, sięgnąłem po kilka dzieł historycznych i przeczytałem sobie dotyczące Jagielly ustępki. Jak mało o nim wiedziałem! Jak mało o nim wie przeciętny polski inteligent! Wzmianka o królu przyniesie mu kilka zaledwie asocjacji — chrzest Litwy, unja, Grunwald z historią o dwóch mieczach i Dippoldem von Kiekieritz, Gródek i zgubne skutki słuchania śpiewu słowików gdy ma się lat ośmdziesiąt sześć (koniec maja musiał być pięćset lat temu równie zimny, jak tego roku) — ot, bodajże wszystko...

Niewiele miał szczęścia Jagiello i do literatury. „Pojały” nikt nie czyta — zresztą w powieści polskiego walterskotypy więcej daleko romantycznych zmyśleń, niż prawdy. W „Zawiszy Czarnym” Słowackiego król majaczy, jak cień ogromny — poza dramatem. Oddaje mu sprawiedliwość Sienkiewicz, ale tworzy jedynie sylwetkę. Postać Jagielly jest dla nas odległa, bardzo odległa. W mroku średniowiecznych dziejów majaczy, jak duch, jak becziesna zjawia, jak napół mityczny bohater. Zda się sobie z tego sprawę Wyspiański, gdy ten stosunek Polaka XIX stulecia do Jagielly ujmuje — świadomie czy intuicyjnie — w sugestii pełne, ale widmo działające wiersze:

Grunwald — miecze — król Jagiello...
Hajno się po zbrojach cięło,
A wicher wył i dał i wiał...

Olbrzymów dzieło...
Witold... Zawisza... Jagiello...

Krótki ten (i tu jeszcze skrócony wskutek cytowania z pamięci) ustęp stanowi pendant do potężnego tworu rzeźby, do zdobiącego Kraków dzieła Witulskiego. Lecz to przecie nie tyle pomnik Jagielly, ile „pomnik grunwaldzki”, pomnik wielkiego zwycięstwa w przeszłości — i wielkiej myśli politycznej na dziś i na jutro, myśli, która w ośm lat po odsłonięciu monumentu wydała plony — nie bez czynnego współudziału tego, co natchnął i artystę.

GENJALNY PÓŁ - BARBARZYŃCA

A przecie półwiekowe blisko panowanie Jagielly to jedno pasmo wysiłków niestrudzonego umysłu, który z chaotycznie pomieszanych, opornych pierwiastków tworzył coś nowego, a trwałego.

Był ci Jagiello pół-barbarzyńcą, ale pół-barbarzyńcą Ignącym do cywilizacji, szybko ją sobie przyswajającym, zdolnym do szybkiego wzięcia się w nowe warunki tak, że rozumiał je wnet lepiej od tych, co je mieli we krwi, id-

nem słowem pół-barbarzyńcą genialnym w stylu Kłodników i Karolów Wielkich.

LITWA

Pochodził z kraju militarnego despotyzmu i despotów, uważających i kraj i naród za swą własność, więc dzielących tę własność między synów, jak chłop dzieli rolę, gotówkę i dobytek. Polska o pół wieku przedtem wyszła z zamętu, wywołanego podobnymi pojęciami. On wyprowadził z niego Litwę, idąc wprawdzie za przykładem zachodnich sąsiadów, ale zwalczając trudności o wiele większe, bo przecie ta jego Litwa była zlepką ziem, zdobytych przez wojowniczą mniejszość, której kraj nie leżał nawet w środku, ale na skrajach tego jedyne w swym rodzaju imperium, sąsiadując z potężnym, wojskowo wyżej stojącym wrogiem — wszakże gdy Litwini docierali do Moskwy czy kusili się o podbicie Nowogrodu, Krzyżacy trzymali Żmudź w drapieżnych pazurach, a często oblegali im Wilno lub obracali w perzynę Kowno. Każdy zaś z mnogich książąt litewskich, władających częściami tego imperium szukał przeciw Jagielle sprzymierzeńców na prawo i na lewo — łączył się w obronę swej niezawisłości w Tatarach, Wołosach, z krzyżackim gadem, szukał oparcia na Węgrzech i u cesarza. Olbrzymia i straszliwa to była szachownica. Jedno fałszywe pociągnięcie mogło spowodować katastrofę, a jeżeli jej nie spowodowało, trzeba je było latami mozolnie odrabiać. Zaprawdę, geniuszem był ten barbarzyńca, co taką grę potrafił wygrać i utrzymać jedność olbrzymiego państwa.

O tych trudnościach wewnętrznych daje najlepsze pojęcie stosunek Jagielly do Witolda. Brat stryjeczny, szukający pomocy za krew ojca, a równocześnie pragnący panować na Litwie, jest przez długie lata bezwzględny, podstępny wrogiem króla. Lecz Jagiello umie z czasem zdolnego organizatora i bojownika siłą, chytrością i dobrocią, a przede wszystkim wielką myślą polityczną pozyskać dla swych planów i zmienić w czynnik pożyteczny. Pokutuje jeszcze fikcja historyczna o separatystycznych planach Witolda, snutych pod koniec życia, o knowaniach z Zygmuntem, o wiezionej do Wilna koronie, przejętej w czasie podróży wysłańców cesarskich przez Polskę. Ależ koronę wieziono za wiedzą Jagielly, plan koronacji ułożony był wspólnie dla utrzymania na przyszłość jedności państwa, a udaremnił go krnąbrni oligarchowie polscy. Jagiello byłby go przecie mimo ich oporu wciął w życie, gdyby nie zgon Witolda. Najlepszym dowodem tej zgodności działania i celów między stryjecznymi braćmi jest fakt, że po śmierci Witolda Jagiello objął Litwę bez przeszkody pod swą władzę. Późniejsze zawikłania i krwawe zamieszki były dziełem krótkowzrocznych polskich wielmożów, paraliżujących mądre zamysły i kroki króla.

POLITYKA EUROPEJSKA

Brak tu miejsca na obszerniejsze skreślenie trudności, z jakimi Jagiello walczył na terenie wielkiej polityki europejskiej. Dość powiedzieć, że tworzące się olbrzymie mocarstwo otoczone było samymi wrogami, że ustawicznie tworzyły się przeciw niemu koalicje, że ustawicznie miało wojnę na wszystkich prawie granicach, że było w nie raz po raz intrygi dyplomatyczne, niesłychanie subtelne i przewrotnie obmyślane. Wiedeń, Buda, Moskwa, Krym, Rzym, Praga kolejno lub razem stawały się narzędziami Malborge. Przez dwa lata nie uznawano w Rzymie małżeństwa Jagielly, oskarżając Jadwigę o bigamię... Kilkakrotnie układano się o rozbiór państwa polsko-litewskiego... Jagiello zaś naprzemian wojował i układał się, a walcząc wciąż na parę frontów, czynił na jednym ustępstwa, aby zwyciężać na drugim, zręczną dyplomacją rozrywał przymierza, ale dobrze wiedział, kto jest najgroźniejszym wrogiem i konsekwentnie przygotowywał rozprawę. Dopiero w piętnastym roku po połączeniu Polski z Litwą odważył się na nią — i zadał cios, z którego wróg nie podniósł się przez wieki. Dopiero po Grunwaldzie mógł być pewnym, że nowy twór państwowy zdoła się utrzymać.

Bo to bajki, że Jagiello myślał głównie o ekspansji na wschód. Punktem ciężkości jego polityki była walka z nieznośnym obcym ciałem, tkwiącym w organizmie państwa, z Zakonem. Szlakiem, jaki sobie wytknął, była droga ku morzu. Ale rozumiał że między oboma frontami, wschodnim i zachodnim, istnieje ścisły związek, że wygrać można tylko równocześnie na obu. Zresztą pociągały go olbrzymie możliwości wschodu, idea wyzwolenia Rusi z pod jarzma tatarskiego. Ale z latami coraz lepiej zdawał sobie sprawę, że tego celu nie osiągnie, więc coraz konsekwentniej przyznawał przewagę zagadnieniom zachodnim, zadawał się na wschodzie wysiłkami, aby tam jak najwięcej ze swych zdobyczy utrzymać.

MAGNES KULTURY ZACHODNIEJ

Zbliżenie do Polski stanowiło już tradycję w rodzie Jagielly. Bądź co bądź, istniejący pomysł unji on doprowadził do skutku. Było dla niego jasne, że Litwa rozpadłaby się prędzej czy później bez połączenia jej z jakimś innym tworem państwowym, mniejszym terytorjalnie, lecz lepiej zorganizowanym. Jeżeli wybrał Polskę, to była w tem niewątpliwie prócz myśli politycznej i cywilizacyjnej. Jagiello lgnął do zachodnich pojęć i urządzeń.

W chwili jego ślubu z Jadwigą chrześcijaństwo szerzyło się już na Litwie — szerzyło jednak z podbitej Rusi w swej wschodniej, schizmatycznej postaci — bez papieża, bez łaciny, bez rycerskiego obyczaju. Jagiello nie tylko nawrócił poganskich Litwinów na obrządek rzymski, ale kazał go przyjmować i litewskim

schizmatykom. Równouprawnienie ze szlachtą polską nadał tylko rzymskim katolikom (musiał cokolwiek później w obliczu zawikłań dynastycznych odstąpić od tej zasady).

I rozumiał Jagiello zagadnienia kulturalne — świadkiem *Alma Mater* krakowska, świadkiem rozkwit scholastyki i udział Polski w soborach, świadkiem dbałość o miasta i przywileje d'a nich.

Umiał król nawet pogodzić się z odmiennym ustrojem Polski i, jakkolwiek w imię nowych olbrzymich celów starał się zawsze przeprzeć swą wolę, szanował zarodki przyszłego ustroju, mające na razie formę oligarchiczną, godził się na zasadę obieralności monarchy i z wielką dozą mądrości politycznej starał się pogodzić ją z litewską zasadą dynastyczną, czyniąc nawet w zakresie nieograniczonej swej władzy w dziedzicznych dzierżawach bolesne ofiary.

Bywały pod koniec jego panowania momenty trudne. Narzucała mu swą wolę grupa Oleśnickiego i Szafranców. Niema chyba tragiczniejszego epizodu w jego życiu, jak owa wyprawa ośmdziesięcioletniego króla pod Łuck przeciw Świdrygielle, w którym widział następcę Witolda i odpowiadającego swym planom włodarza wschodu.

A przecie wśród tego wszystkiego Jagiello nie usiłuje Polsce narzucić absolutyzmu, nie broni się przeciw samowoli magnackiej i krótkowzroczności Oleśnickiego gwałtownymi środkami, pozostaje w Polsce monarchą zachodnim i takie tradycje przekazuje swym następcom. Nie gwałca woli magnatów, ustala jednak dziedziczność tronu w nowym rodzie.

WÓDZ

Na zakończenie słów kilka o Jagielle jako o wojowniku. Mówi się, że nie wyzyskał zwycięstwa pod Grunwaldem. Wyzyskać go nie mógł wskutek konfiguracji europejskiej, w szczególności postawy Węgier, i wskutek braku piechoty oraz środków oblężniczych. Mimo to to kampania grunwaldzka jest pomnikiem jego geniusza strategicznego i taktycznego. Cała organizacja pochodu na Prusy imponuje. Cztery oddalone od siebie kontyngenty zjednoczyły się z sobą szybko i planowo. Zaopatrzenie było doskonałe. Co więcej, cios wymierzony był w samo serce nieprzyjaciela — w epoc, kiedy zdobywano twierdze graniczne lub urządzano rycerskie harce z wyzwaniem.

Staje tedy zjednoczona armia polsko-litewska naprzeciw Krzyżaków, którzy muszą zagrozić drogę do stolicy i muszą dzięki temu postawić wszystko na kartę w walnej bitwie, co sprzeczne jest z ich wiekową tradycją i praktyką. I znowu widać u Jagielly geniusz, co swój wiek wyprzedza. Ślepy Jan czeski rzuca się pod Crécy w wir walki, gdzie tylko zaważać może i gdzie marnie zginie. Władysław Warneńczyk poprowadzi szarżę husarii na okopanych janczarów, aby przegrać kampanię i życie. Ale Jagiello stoi spokojnie poza frontem i kieruje bitwą, która by inaczej skończyła się katastrofą — bo przecie zaraz z początku uległo skrzydło litewskie, bo był mo-

ment, w którym wielka chorągiew koronna runęła pod kopyta krzyżackich rurnaków, bo wróg trzykrotnie przebił się przez cały szysk polski. Lecz król czuwa, umiejętnie używa rezerw, zatyka luki, wyzyskuje błędy zapalczywego Ulryka von Jungingen (który poległ w wirze walki) i zwycięża. Ma i Jagiełło chwilę, w której unosi go temperament, i trzeba chwytąć jego konia za uzdę. Lecz wprędce zapanuje nad odwagą żołnierską — bo wie, że jest wodzem. Jak

przypuszcza Kolankowski, nauczył się tego od średniowiecznych mistrzów strątegi, od Tatarów.

DALEKI WZROK

Rzecz charakterystyczna, że cele, do jakich dążył Jagiełło, osiągał dopiero jego następca, nieaz po długich latach. Litwa jeszcze parę razy oderwała się od Polski i dopiero ostatni z Jagiellonów połączył oba narody organicznie. Zakon krzyżacki zniszczył dopiero Kazi-

mierz Jagiellończyk.

Otóż właśnie w tych faktach jest dół niestychanie daleko sięgającego wzroku króla. Nie z dziś na jutro on obliczał, nie na lata, lecz na lat dziesiątki i setki. To też olbrzymia jego postać, postać tego, co wśród nieustannej burzy budował przyszłość, góruje nad naszymi dziejami — i trudno powiedzieć, czy większy był Chrobry, czy Batory, czy pierwszy z Jagiellonów.

Jan Szarzyński.

Życie, obyczaje i ułomności Władysława Jagiełły (Z Kroniki Jana Długosza)

Powtarzając z powodu pięćsetnej rocznicy zgonu wielkiego króla tę charakterystykę, należy zaznaczyć, że Długosz, którym opiekował się kardynał Oleśnicki, przywódca przeciwnej Jagielle grupy oligarchów, niezbyt życzliwie usposobiony był dla Jagiełły, a choć świadomie faktów nie zniekształcił na jego niekorzyść, niewątpliwie pewne rzeczy tłumaczył na gorsze, dawał zbyt skwapliwie wiarę pewnym sądom i pogłoskom ujemnym, a z wielkością króla nie zdawał sobie sprawy. Z myślą o uprzedzeniu Długosza i ostrożnością należy czytać poniższy wyjątek z jego dzieła.

Godzi się opisać króla Władysława życie, czyny i przymioty, aby o jego pochodzeniu, dziełach i sprawach wiadomość przekazać potomnym. Był on synem Olgerda, księcia litewskiego, nazwiskiem Jagiełło: zrodzony z Marii, córki księcia Twerskiego, który był wyznawcą Greckiego Kościoła. Dziad jego, Gedymin, miał kilku synów, Olgerda atoli nad wszystkich najbardziej miłował, dlatego przy śmierci jego z pomiędzy braci wybrał i nazaczył panem i wielkim księciem Litwy. Po zejściu Olgerda, ojca Jagiełły, za zezwoleniem księcia Kiejstuta, stryja Jagiellowego, a ojca Witolda, księzę Jagiełło osiągnął wielkie księstwo Litewskie. A gdy późniejszym czasem wszczęły się między nimi zatargi o panowanie, rzeczony książę Kiejstut dawszy się uwieść pozorną chęcią zgody, został uduszony, i takż sam los byłby spotkał jego syna Witolda, gdyby ten za dowcipnym przemyśleniem żony, przebrany za kobietę, nie był ratował się ucieczką. Razem z braćmi, których, jak wiemy, miał ośmiu, częstami i srogimi najazdy trapił sąsiednie kraje, a osobiście Polskę.

Nareszcie za łaską i miłosierdziem Boga, który go w poczet prawowiernych chrześcijan policzyć raczył, przez prałatów i panów polskich z ciemnoty pogańskiej do światła wiary nawrócony, przyjął chrzest i nazwany został Władysławem. Po chrzcie świętym połączył się ślubem małżeńskim z Jadwigą królową Węgierską i Polską, córką Ludwika, króla Węgierskiego; a po jej śmierci miał jeszcze trzy żony: Annę, Elżbietę i Zofję, z żadną jednak nie żył w szczerzej i prawdziwej miłości małżeńskiej. Zamiłowany w myślistwie od dzieciństwa aż do zgonu, tak dalece zajęty był łowami, że wszystkie myśli swoje rad zwracał ku tej zabawie.

Wzrostu był miernego, twarzy ścigł, chudej, a brody nieco zwężonej. Głowę miał małą, podługą, prawie całkiem łysą, jak widać na grobowcu marmurowym, który popioły jego okrywa. Oczy czarne i małe, niestatecznego wejrzenia i ciągle biegające. Uszy duże, głos gruby, mowę przedką, kibić kształtną lecz szczupłą, szyję długą. Na trudy, zimna, upały, zawieje i kurzawy nad podziw był cierpliwy. W ubiorze i zewnętrznej postawie skromny. Sypiać i wczasować

się lubił aż do południa, dlatego mszy świętej rzadko o należnym czasie słuchiwał. W prowadzeniu wojen niedbały i ciężki, wszystko staranie na wodzów i zastępców składał. Łaźni zazwyczaj co trzeci dzień, a niekiedy częściej używał.

Do rozlewu krwi ludzkiej tak był nieskory, że często największym nawet winowajcom karę odpuszczał. Dla poddanych i zwyciężonych okazywał się dziwnie łaskawym i wspianym tylko tym, którzy mu na łowach lub w innych rozrywkach zawinili, nigdy nie mógł przebaczyć. W ludziach umiał dostrzegać cnoty, i nie zawiesiać ale przychylnością mierząc czyny i zasługi swego rycerstwa, każdą sprawę chwalebna, czyto w wojnie czy w pokoju spełnioną, hojnie i wspianie wynagradzał: małą rzeczą ludzi czynił odważnymi, odważnych bohaterami, gotowymi do największych dzieł i poświęceń.

Miał w sobie wadę jakowegoś ociągania się i oporu, bądźto z przyrodzenia pochodząca, bądź wszczepioną nałogiem którą niekiedy nazywano powolnością serca i umiarkowaniem.

Przystęp do niego był według okoliczności trudny lub łatwy. W przyjmowaniu składanych sobie darów okazywał się wielce chętnym i uprzejmym, w odpłacaniu ich hojnym i wspianym; żadna ofiara u niego nie była tak małą i nieznaczna, żeby jej z ochotą nie przyjął i w dwójnasób nie wynagrodził. Nierozważną szczodrością i rozrzutnością więcej krajowi czynił uszczerpku, niż inni chciwością i łakomstwem. W myślistwie zamiłowany był aż do zaniedbywania spraw publicznych i ściągania sobie słusznych zarzutów.

W każdym tygodniu Piątek z wielką wstrzeźliwością o chlebie i wodzie pościł. Zawsze trzeźwy, wina ani piwa nie pijał. Jabłek i ich zapachu nienawidził dobre jednak i słodkie gruszki pokrywom jadał.

Do zachowywania obrządków i powinności chrześcijańskich częstami pobudzany przestrogi królowej Jadwigi, w święta Wielkiej Nocy, Zesłania Ducha św. Wniebowzięcia N. Marii Panny i Narodzenia Pańskiego przystępował do SS. Sakramentów pokuty i ołtarza. Ale po jej śmierci obyczaj ten ograniczył do samych świąt Narodzenia Pańskiego i Wielkiej Nocy. W święta zaś Wielkanocne, które w całym życiu prawie wydarzało mu się obchodzić w Kaliszu, ubogim, których tam garneło się wielkie mnóstwo, własną ręką rozdawał po jednym szerokim groszu Praskim, z mieszka, który zawsze przy sobie nosił. Corocznie w wielki Piątek dwunastu ubogim w swoim pokoju, w obecności kilku tylko sekretarzy, nogi umywał, a potem każdemu z nich dawał po dwanaście groszy, tudzież sukno i płótno na przyodziewek.

W obcowaniu poważny, miał nie które dziwne zwyczaje: szat, nożów sto łowych i innych naczyń nie pozwalał

komu innemu sobie przynosić, krom tego który miał takową powinność zlekleczkach. W obietnicach i postanowieniach wierny i stateczny, sam zmieniać ich nie lubił i panom swoim odwoływać nie dopuszczał, chyba dla ważnej jakiej przyczyny i konieczności; a zawsze starał się przyprowadzić je do skutku. Sprawy ubogich, wdów i sierot jeśli sam słuchać ich i załatwiać nie mógł, innym mężom uczciwym polecał do załatwienia.

Miał też i swoje zabobony, których jak twierdzili niektórzy, z słusznych trzymał się przyczyn, a które wpoila w jego umysł matka, niewiasta greckiego wyznania. Rzeczy pożyteczne oddawał rzetelnie i z wdzięcznością.

Bardziej rozrzutny niż hojny, wszyst ko cokolwiek miał, a nawet królestwa swego obszerne posiadłości, rycerzom swoim porozdawał, nie wiele zważając na zasługi tych, których obdarzał; i więcej daleko rozdarował aniżeli sobie zostawił. Wespół z królową Jadwigą ufundował Akademię Krakowską i psalterzystów w kościele krakowskim, niemniej klasztory św. Brygitty w Lublinie, Premonstratenski św. Ducha w Sączu, N. Marii Panny na Piasku w Krakowie, klasztor karmelitów i kościół parafialny Bożego Ciała na Kazimierzu, do którego wprowadził kanoników regularnych s. Augustyna. O utrzymanie zamków miast i innych budowli nie bardzo był dbały, i wiele ich za czasów tego króla pounpadało.

Litwę swoją ojczystą, rodzinę i braci tak dalece miłował, że gdy Królestwa Polskiego nie wahał się narażać na rozliczne wojny i klęski, wszystkie skarby i dochody króleskie rad poświęcał na obronę i z bogacenie Litwy. Klasztoru s. Krzyża na Łysej górze nie odwiedzał nigdy inaczej, tylko pieszo. Kościoły Gnieźnieński, Sandomierski i Wiślicki greckiej sztuki ozdobami (w tych bowiem bardziej smakował niż w łacińskich) przystroił. Dla innych klasztorów i kościołów szczodry był i dobroczynny. W każdym kościele, do którego zdarzyło mu się z nabożeństwa wstąpić, jedną grzywnę zostawiał.

Szlachty Królestwa Polskiego, ich żon i innych niewiast, przychodzących z darami choćby najmniejszymi, nigdy nie odprawiał bez pociechy i szczodrych podarków w suknie, soli lub w szkarłacie. Jeżeli zaś w jakim znakomitym domu, zaproszony lub konieczną potrzebą zmuszony, gościł, wydatki dla siebie poczynione wspianie wynagradzał. Chciwy chwały i zalety, rad ucha nadstawiał pochlebcom i oskarżycielom, zwłaszcza tym, których przypuszczał do bliższej z sobą zażyłości. Szczery i prostoduszny, nie miał w sobie żadnej obłudy. W rozdawaniu łask i darów mało oględny. W zabawach myśliwskich ani miary zachować, ani czasu oszczędzać nie umiał; stąd i dworzanom, którzy mu na łowach w cza-

się zimna lub upału po lasach i kniejach, przez dzień cały, a niekiedy i w nocy dostrzymywali, hojnie sypał nagrody, aby ich zachęcić do cierpliwego trudów znoszenia. A tak dochody publiczne pochłaniały niewczesnie i niegodziwie dworacy, którzy nie w usługach kraju ale w gonitwach za zwierzyną prace swoje poświęcali.

W wojnach niemal wszystkich używał szczęścia i pomyślności. Dla obcych i przychodniów tak był ludzkim i uprzejmym, że podziwem była taka cnota w człowieku zrodzonym pośród dzikości i pogaństwa. Uraz doznanych i nieprzyjaźni nigdy nie pamiętał. Niepoczesności dawnego stanu swego nie tylko nie ukrywał, ale rad nawet o niej wspominał.

Ozdób powierzchownych i szat wytwornych nie lubił; chodził zwykle w baranin kożuchu sukmem pokrytym; rzadko brał na siebie strój wykwintniejszy, jak płaszcz z szarego aksamitu, bez żadnych ozdób ani ziółogłowi, i to tylko na większe uroczystości. W inne dni nosił odzież prostą, żółtawej barwy; nienawidził soboli, kun, lisów i innych miękkich a kosztownych futer; przez całe życie używał tylko zwyczajnych baranków, nawet w najostrejszej porze zimowej; dlatego dziwili się ludzie największej prostocie połączonej w nim z dumą i wyniosłością.

Prosty bowiem w ubiorze, w innych rzeczach nie chciał mieć nic wspólnego z drugimi; przeto nie lubił, ażeby kto tknął się jego szaty, łóżka, krzesła konia, chustki, kielicha i innych podobnych rzeczy, których on używał. W biesiadach nie tylko hojny ale zbyt kujały, tak iż w dni świąteczne i uroczyste, albo kiedy znaczniejszych podejmował gości, po sto potraw na stole, zwyczajnie zaś po trzydzięci, czterdzięci i pięć dziesiąt zastawiał; dla wszystkich bowiem bywał wylany.

Miał niektóre zwyczaje zabobonne. Wyrwał włosy z brody, i powplatawszy je między palce, wodą ręce obmywał. Zawsze, nim z domu wyszedł, trzy razy obracał się wkoło, i słomkę na trzy części zlamana rzucił na ziemię; nauczył go tego matka greckiego wyznania. Ale dlaczego i w jakim celu to uczynił, nikomu za życia nie chciał powiedzieć, ani też łatwo to odgadnąć. Powiadają zaś, że miał w przysłowiu to zdanie często powtarzane: że słowko z ust ptaszkiem wyleci, ale jeśli było niedorzeczne a chcesz je cofnąć, staje się wołem. Miał także zwyczaj upominać żartem rycerzy, żeby w boju nie stawiali nigdy na przodzie, ani w ostatnim szeregu, a nie chowali się również do środka.

Po jedzeniu kładł się zwykle i oddawał spoczynkowi. Sypiał długo, a wstawszy z łóżka szedł prosto do ustępu, gdzie długo także wysiadując wiele czynności układał lub załatwiał, a nigdy nie był przystępniejszym, i łatwiejszym, jak wtedy; przeto wszyscy korzystali zwykle z takiej pory, dla wyjednania sobie tego, co im było pożądane. Do próżnowania i rozkoszy, do zabaw myśliwskich i biesiad skłonny z przyrodzenia, rzadko zajmował się ważnemi krajami sprawami, unikając tego starannie, aby mu kto spoczynku albo łowów, którymi ustawicznie lubił się zajmować, nie przerywał. Podarunkami wielkimi nader hojnie szafował, nie ze względu na zasługę biorących, ale dla uniknięcia naprzykszeń. Takie samo okazywali usposobienie i synowie jego, Władysław i Kazimierz, kiedy w Polsce sprawowali rządy.

*) Podobne obyczaje panowały i na dworze francuskim w XV wieku. (przyp. red.)

Wystawa portretu 19 wieku

na międzynarodowej wystawie sztuki w Wenecji

W ramach tegorocznej międzynarodowej wystawy sztuki w Wenecji zorganizowaną została bardzo interesująca wystawa portretu XIX stulecia.

W wystawie tej bierze udział 14 państw, a mianowicie: Anglia, Austria, Belgia, Czechosłowacja, Dania, Francja, Hiszpania, Holandia, Niemcy, Polska, Szwajcaria, Węgry i Włochy, oraz Stany Zjednoczone A. P.

Rozmieszczona w dziesięciu dużych salach, obejmuje wystawa ta ogółem około 500 dzieł sztuki, z czego lwia część, bo blisko dwieście przypada na Włochy.

Mimo tak liczego obciążenia wystawy przez malarzy włoskich, na pierwszy plan wybija się twórczość nie Włochów, lecz artystów francuskich. Jest to zupełnie zrozumiałe, ile że w ciągu wieku XIX Francja wydała najgenialniejszych portrecistów, a cała twórczość artystyczna Europy pozostawała przez długi czas pod silnym, wyraźnym wpływem szkoły francuskiej.

W oddziale francuskim reprezentowane są trzy główne kierunki malarstwa portretowego, które od romantyzmu — poprzez realizm i naturalizm — przeszło do impresjonizmu. Kierunki te reprezentują: Eug. Delacroix, Claude Monet, J. B. Corot, Ed. Degas, P. Cezanne, Carolus Duran, Paul Gauguin.

Bardzo bogato reprezentowaną jest na wystawie Anglia, gdzie malarstwo portretowe oddawna jest bardzo popularne i stale uprawiane przez najwybitniejszych artystów.

Na czoło wybija się tu Sir Thomas Lawrence, znakomity kolorysta, który w portretach swych stara się odtworzyć psychikę i indywidualne cechy charakteru swych modeli.

W połowie XIX w. pojawia się drugi, ni mniej wybitny artysta G. F. Watts, malarz, rzeźbiarz i filozof. Dzieła jego odznaczają się pełnym opanowaniem techniki i przedziwną harmonią.

Szkołę prae-rafaelitów reprezentuje D. G. Rossetti, J. E. Millais i F. M. Brown. W ostatnich dziesiętkach XIX w. większe znaczenie zdobywają G. Richmond, Frank Holl, Furse, Mac Evoy i i.

Niemniej ciekawym jest dział hiszpański, z Franc. Goya na czele (portret królowej Marii Luizy), oraz jego współczesnym, znakomitym portrecistą Wincentym Lopez. Z końcem XIX w. największą sławę zyskał Fryderyk de Madrazo, który w portretach swych uwieczniał wybitne osobistości ze świata politycznego, finansów i sztuki.

Sztuka włoska, która w ciągu zeszłego wieku przechodziła stopniowo ewolucję od neoklasycyzmu poprzez romantyzm do impresjonizmu, reprezentowaną jest przez cały długi szereg malarzy, spośród których wyliczyć trzeba: Franc. Hayez, Giov. Segantini, Antonio Mancini, Gius. de Nitti, Tito Lessi, Ant. Ciseri, Tranquillo Cremona i inni. Na ogół w dziale tym widzi się dużo rzeczy zupełnie dobrych, brak jednak dzieł naprawdę epokowych i wybitnych.

Dania wystawiła tylko pięć dzieł, wszystkie pochodzące z przed roku 1850, ale bardzo charakterystyczne dla tej epoki, na której położył wybitne piętno wielki naprawdę artysta C. W. Eckersberg, pozostający jeszcze pod wpływem J. L. Davida. Obrazy Eckersberga odznaczają się niesłychanie sumienną ob-

serwacją i wnikliwością, przy świetnej technice.

Współczesny mu C. A. Jensen kładzie nacisk nietylko na formę, co na uchwycenie i oddanie stanu psychicznego charakteru portretowanych osób.

W dziale niemieckim kierunek klasycystyczny reprezentują Franz v. Lenbach, Feuerbach i Schnorré v. Carolsfeld, podczas gdy Adolf Menzel, Wilhelm Leibl i Fr. Krueger zaliczeni być muszą do realistycznych malarzy-portrecistów. Przedstawicielem dawnej germańskiej tradycji malarskiej jest Hans Thoma ze swym autoportretem.

Wśród malarzy austriackich dominuje Hans Makart ze swym stylem dekoratywnym i historyzującym, dalej Fr. H. Fueger, klasycysta, zostający pod wpływem Davida, realistyczny Ferd. G. Waldmüller, oraz Fryd. Amerling, na którym widoczny jest wpływ sztuki angielskiej.

Węgry w kilku wystawionych obrazach dali krótki przegląd historii portretu, a więc: Mikołaj Barabas (roman-

tyzm), Karol Ferenczy, twórca węg. szkoły naturalistycznej, i wreszcie Michał Munkaczy, jeden z najgłośniejszych malarzy XIX wieku, którego dzieła zaliczają się do arcydzieł malarstwa realistycznego.

Doskonały przegląd swej twórczości artystycznej dała Czechosłowacja, jakkolwiek ilość eksponatów, ograniczoną jest zaledwie do sześciu portretów. Rozpoczyna ten przegląd Ant. Machek, malarz burżuazji praskiej, pełen prostoty i wdzięku. Kierunek romantyczny reprezentuje Józef Manes, podczas gdy K. Purkyne hołduje już realizmowi. Wacław Brozik, najbardziej może popularny, tworzy wielkie obrazy historyczne, kładąc większy nacisk na zewnętrzne efekty. Z końcem wieku wreszcie wybija się na czoło Wojciech Hynais i Józef Myselbek, najbardziej głęboki w swych dziełach, w których dąży do realistycznej syntezy.

Szwajcaria wystawiła portret Böcklina, a obok niego płótna B. Menna (ucznia Ingres), prekursora kubizmu, oraz

jego ucznia, Ferd. Holdera, artysty o dużym, oryginalnym talencie.

Oddział belgijski nie odznacza się wybitną oryginalnością. Twórczość artystów belgijskich pozostawała w początkach XIX wieku pod wyraźnym wpływem Davida, poczem pomału widoczny jest nawrót do tradycji starych mistrzów flamandzkich. Zśród artystów biorących udział w wystawie na wzmiankę zasługują Theo van Rysselberghe, Lievin de Winne (rzeźby), Emil Wauters i Hendrik Leys.

W oddziale holenderskim na pierwszy plan wybija się Winc. Van Gogh.

Stany Zjednoczone A. P. nie mogą poszczycić się własną oryginalną sztuką, mającą charakter wybitnie narodowy. Najciekawszym z portrecistów jest głośny J. A. Whistler, posiadający najwięcej jeszcze oryginalności. Na innych malarzach, jak John S. Sargent, Eakins, czy William Chase, znać wpływy szkoły francuskiej lub niemieckiej.

O oddziale polskim, niezbyt zresztą licznie obciążonym, pisać obszerniej nie będziemy, powołując się na zamieszczony niedawno na tem miejscu dłuższy artykuł o rozwoju portretu polskiego XIX wieku. Urządzeniem działu polskiego zajmował się dyr. Mieczysław Treter.

(R.)

Radio a wieś

Czy radio ocenia się należycie? czy jego wartości i użyteczność docenia miasto, a czy jednakowo bodaj a dość intensywnie docenia wieś? Ludność wiejska mogłaby z radia bardzo szeroko korzystać, a wartoby aby to miało miejsce.

— Po raz pierwszy od czasów nie dających się policzyć, powiada nam pewien wieśniak, jesteśmy wobec postępu, wobec nowego wynalazku, zupełnie na równi z mieszkańcami miast.

Na równi! zjawisko jest tak rzadkie, że warto się nad nim zastanowić. Współczesny postep źle naogół przystugiwał się wsi. Mechanika, która całkowicie przeobraziła pracę w przemyśle, tylko częściowo przeniknęła do pracy na roli. Kolej, które tak bardzo wzmogły wzrost wielkich ośrodków, bardzo mizerne dały korzyści wsiom, niejednokrotnie tak bardzo odległym od najbliższych stacji. Gazety znacząco więcej interesują się życiem miast niż wsi. Samochód jest dla wieśniaka tylko bardzo kosztowną zdobyczą postępu, w przeciwieństwie do poezji, wiozła, który zamiast kupnej nieodprownie benzyny, żywi się owsem z pól swego właściciela. Kino mimo wszystko pozostało jedną więcej atrakcją miasta. Lecz wobec radia wieś i miasto są na równych prawach!

Radio służyć powinno więc wsi jaknajpotężniej, a wieś winna z niego korzystać jaknajszerzej.

Radio nie zna przestrzeni i znosi odległości. W dziedzinie n. p. informacji, dzięki radju wieś dowiaduje się o wszystkim równocześnie z wielkimi miastami i głuchą prowincją, która musiała długie czekać dni, dziś dowiaduje się o każdym ważnym zdarzeniu jednocześnie z dotychczas tak uprzywilejowanymi mieszkańcami miast. Dawniej na wsi oczekiwano niecierpliwie gazety, by się czegoś nowego dowiedzieć, dziś radio waidomości przynosi znacznie szybciej, natychmiast, gazety zaś informują o szczegółach i ten swego czasu przybysz z miasta tak niecierpliwie wyglądany, a dumny ze swych „świeżych wiadomości“, znajduje słuchacza częstokroć lepiej od siebie poinformowanym, bo czego on mógł się nie dowiedzieć — oni usłyszeli przez radio.

Ale w gruncie rzeczy, co wieśniakowi z tych wiadomości, Wielkie nowiny, zda-

niają się przecież tak rzadko! W stosunku do aktualności dnia powszedniego, które bledną i przemijają tak szybko, jak zaistniały, to jeno zadowolenie małe i nic więcej.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa w stosunku do tych wiadomości, tych informacji, których wieś potrzebuje jaknajśpieszniej. Są przecież ceduły giełdowe, cenniki targowe. Co ile ten dział jest dla słuchaczy radia, spragnionych wyłącznie rozrywki, istną plagą, o tyle dla wsi przedstawia wartość zupełnie nie dającą się oszacować.

Tuż obok są komunikaty meteorologiczne. Dotychczas wieś posługiwała się własnym doświadczeniem i bardzo zawodną wróżbą domorosłych meteorologów lub przepowiedniami kalendarzowymi, ustalaniem na cały rok z góry. Dziś z dnia na dzień wie jaka będzie pogoda i każdy wieśniak czerpiący z radia wiadomości o pogodzie, może prace swoje do tego przystosować, a wiemy że na wsi pogoda to narówni: wielki dobrodziej i wróg najgorszy. Ciekawą rzeczą byłoby się dowiedzieć, jakie w tej mierze wieś porobiła doświadczenia?

W programach ogólnych, radio ze swej strony powinno by proporcjonalnie brać pod uwagę i mieszkańców wsi. W radach programowych wieś powinna mieć tak, że swych przedstawicieli, gdyż radio staje się w życiu tej zazwyczaj po macoszemu traktowanej ludności wiejskiej, czynnikiem nowym i bardzo ważnym. Pozwala ono jednostkom zdolniejszym, których odsetek jest na wsi przynajmniej tak samo wysoki, zapoznawanie się z naukami, literaturą, teatrem i muzyką. Dzięki radju wieś poznaje wielkich uczonych, wielkich mówców, sławnych artystów i tem lepiej może ich wysłuchać, tem więcej może przytem skorzystać, że wieś spokojna ułatwia skupienie, jednostajne życie na wsi daleko lepiej pozwala na korzystanie z radia, niż ruchliwe i urozmaicone miasto, w którym przeróżne atrakcje i sensacje utrudniają słuchanie nawet tego, co najżywiej danego słuchacza interesuje.

Radio winno by zainteresować się wsią i to inaczej, niż czyniło to dotychczas. Winno by dokładniej zorientować się w programie, który wsi nietylko najlepiej odpowiada, ale także wsi najwięcej przy-

nosi korzyści. Poza rozrywką, która de- tąd miała obowiązek posiadać charakter ludowy, wsi dobrze znany i tem mniej ciekawy, poza działem czysto rolniczym, bardzo wskazanym lecz nadawanym zwykle w porze, kiedy wieśniak pracuje w polu, program radjowy powinien przewidywać choćby najkrótsze audycje, lecz właśnie dla tej wsi pomyślane. Coś niby uniwersytet ludowy, dział programu, któryby zawierał odczyty i pogadanki, audycje całe, przeznaczone dla szerokich warstw ludności miejskiej i wiejskiej, stojących na bardzo zbliżonym poziomie rozwoju. Dziś audycje tego typu, przez programy radjowe uwzględniane i nieraz bardzo trafnie ujmowane, mają tę jedną zasadniczą wadę, że wypadają w porze kiedy tak w miastach jak i na wsi, tak w warsztatach, jak w fabrykach, po folwarkach, jak i po kmieści strzechą wro jeszcze praca zbożna. Po jej skończeniu, w porze kiedy rolnik czy rolnik chciałby posłuchać czegoś, co go interesuje, co lubi, co zrozumieć może, rozgłoszenie radjowe nadaje program, który swym wysokim poziomem przewyższa nieraz możliwości zupełnie kulturalnego inteligenta, więc tembardziej dla prostaczka nie przedstawia żadnej wartości. W Polsce radio powinno się wsią zainteresować tem intensywniej, że jesteśmy krajem par excellence rolniczym, 3/4 ludności stanowią właściciele i nie dziw, że z naszą garetką radioabonentów polskich stoimy na takim dalekim miejscu, jeżeli programy mają na uwadze tylko nieliczną rzeszę „inteligentnych“ radiosłuchaczy. Wieś to siła i największe bogactwo Rzeczypospolitej.

J. Ol.

Zdania i myśli

„Szczęście nie znosi za sobą posęgu. Napastowane odwraca się i zaczyna przysiadować napastnika“ —

Stefan Żeromski „Uroda życia“

„Szczęście — to wewnętrzna pogoda“ —

M. Rodziwiczówna „Błękitna“

„Jednym z głównych warunków szczęścia jest szacunek dla samego siebie“.

Wacław Sieroszewski „Ucieczka“

(H. W.)

Markiz M. G. La Fayette

W setną rocznicę śmierci

Z pomiędzy bohaterów wielkiej rewolucji francuskiej, na jedno z pierwszych miejsc wybija się markiz La Fayette, na jedno z najbardziej oryginalnych.

Pierwszy liberal i demokrat, zarazem patriota gorący — jest tyrowym, niemal idealnym przedstawicielem tego światopoglądu politycznego, społecznego i kulturalnego, który — narodzony w wieku XVIII. — przez całe stulecie następne rozwija się pomyślnie i wielkie święci triumfy, by dziś — w naszych czasach — w stanie dekadencji i rozkładu dokonywać swego żywota, ustępując miejsca nowym, świeżym — bardziej do wymagań chwili obecnej przystosowanym — hasłom i prądom ideowym: spójnym politycznym, kulturalnym.

Rzecz ciekawa, że na dwu krańcach dziejów liberalizmu i demokracji, jako doktryny społeczno-politycznej, stoją dwaj ludzie, tak bardzo zbliżeni do siebie pod względem pochodzenia i środowiska społecznego, z którego wyszli: nie są to dzieci „demosu”... nie wyszli z proletariatu, ani nawet ze stanu trzeciego — nie, — zarówno pierwszy, entuzjasta i szermierz hasła liberalizmu i demokracji, jak i epigon ostatni i pogrobowiec: markiz La Fayette i hrabia Sforza wyszli ze sfery, w której interesy głoszone i bronił przez nich hasła najbardziej godziły: z arystokracji!...

Jest przecież zasadnicza różnica, która przepaścią niemal nieprzebytą oddziela pierwszego arystokratycznego demokrację i liberala od ostatniego: hrabia Sforza jest kosmopolitą i antynacjonalistą, La Fayette jest entuzjastą nie tylko wolności, ale i samodzielności narodów. Budzący się w końcu XVIII. stulecia nacjonalizm może śmiało zaliczyć pierwszego liberala i demokrację do szeregu swych entuzjastów i obrońców, — może nie tego typu, co wolający „Patrie en danger!” trybuni ludowi — niemniej jednak od nich kochających Francję i zdolnych do ofiar na ołtarzu ojczyzny.

Przy tym wszystkim odgrywa La Fayette w wielkim dramacie rewolucji francuskiej rolę oryginalną i niezwykłą, często niewdzięczną, a jakże odpowiedzialną: obok nazwisk wielkich mężów — bohaterów republiki czy krwawych spływających fanatyków krańcowego ludowładztwa (Danton, Robespierre, Saint-Just, Hebert, Collot d'Herbois), obok genialnych karłowców, torujących drogę nowym ideom, a zarazem nie nieczułych na brzęk złota choćby i z królewskiej szkatuły (Mirabeau), obok graczy, zmieniających przekonania za każdym podmuchem wiatru (Talleyrand, Sieyès, Fouché, Beresier) — wyrasta nieskalana sylwetka arystokraty, który wierzył w równość i wolność patrioty, który walczył w obronie innych patriotyzmów — rewolucjonisty, który ościł koronę i dynastję. Markiz La Fayette jest idealnym typem konstytucjonalisty - liberala — monarchisty, jacy na wzór angielski poczęli się zjawiać i działać na kontynencie w końcu XVIII w. l. c.

Wiemy dobrze, jaką rolę — obok Kościuszki — odegrał La Fayette w dziele odzyskania niepodległości przez Stany Zjednoczone. Wspomnienia walk o wolność Stanów przez życie będą przyswiecały markizowi, jako wspomnienia najdroższe, — pamiątki z dalekiej Ameryki i z dni gorącej przyjaźni z Washingtonem, najdroższymi będą dlań pamiątkami, — toteż w latach bezczynności najchętniej żyć będzie w świecie tych wspomnień i w otoczeniu tych pamiątek.

Bezpośrednio przed wybuchem rewolucji francuskiej La Fayette, bohater walki o wolność Amerykanów, najpopularniejszą jest postacią w Ameryce, ojczyźnie,

Wierzoną, że ten, który walczył w obronie obcej wolności, zechce i potrafi walczyć za wolność swego narodu. Przypuszczenia te i nadzieje nie zawiodły. w pierwszym okresie rewolucji La Fayette jest najgroźniejszym, obok Mirabeau, przeciwnikiem dworu i „ancien régime”. Stał na czele Gwardji Narodowej, wywiera nacisk na dwór w sprawie porzucenia Wersalu, w Konstytucji zaś reprezentuje ostrą „opozycję” antyabsolutystyczną, stojąc na czele grupy konstytucjonalistów. Jest też La Fayette jednym z głównych twórców słynnej „Deklaracji Praw człowieka i obywatela”, która, uchwalona w nocy z 4 na 5 sierpnia 1789, stała się prawną podstawą ustroju liberalno-demokratycznego najpierw we Francji, potem w całej Europie.

Z biegiem jednak czasu — im więcej na lewo przesunęły się nastroje Francji, tym bardziej na prawo przechodził La Fayette. A raczej nie przechodził, nie ruszał się z miejsca, — tylko w miarę potęgowania się nastrojów radykalnych niezmienna jego pozycja — w zestawieniu z ogólnym obliczem politycznym kraju — nabierała cech konserwatywnych

Widzieliśmy go w Konstytucji w centrum — ostro zwalczającego konserwatywną, stojącą na straży absolutyzmu — prawicę. W Zgromadzeniu Prawodawczym właśnie konstytucjonalisci stanowili już prawicę (tzw. klub fellyjanów). La Fayette nie pragnął republiki, ani anarchii — był zwolennikiem konstytucyjnej monarchii na wzór angielski. Toteż gdy gęro wzięły w kraju skrajne żywioły rewolucyjne, gdy tysiącletnia monarchia, — do której, mimo wszystko La Fayette był gorąco przywiązany, — lec miała w gruzach dowódca Gwardji Narodowej, pierwszy liberal i demokrat, postanowił zwrócić swój oręż przeciw rewolucji.

Zamierzał poprowadzić swą armię na Paryż, rozpuścić rewolucyjny rząd i przedstawić ludowi i przywrócić monarchię, żądając od niej konstytucji. Przepojona jednak duchem republikańskim wojsko nie poszło za swym wodzem La Fayette, opuszczony i wyjęty z pod prawa, ratował się ucieczką do Austriaków, którzy udzielili mu wprawdzie schronienia ale jako jednego z głównych przywódców akcji rewolucyjnej — osadzili go w więzieniu. Dostojny więzień

tułał się z twierdzy do twierdzy, raz po raz przenoszony do coraz to innego miejsca uwięzienia, aż wreszcie w myśl warunków jednego z pokojów zawartych między Francją a Austrią, odzyskał wolność i wrócił do ojczyzny.

Do Napoleona ustosunkował się wrogo do restauracji Borbonów również: długie lata spędził w zaciścu i samotności w swym zamku La Grange de Brie. Rewolucja jednak lipcowa roku 1830 porwała go znowu do czynu: ciesząc się olbrzymią popularnością i powszechną miłością, raz jeszcze wystąpił do walki z reakcją absolutyzmu w imię konstytucji, liberalizmu i demokracji.

W wypadkach lipcowych odegrał decydującą rolę; poraż drugi obalił absolutyzm, ale i poraż drugi nie zdradził swych przekonań liberalno-konstytucyjnych — monarchistycznych gwałtownie zwalczając radykalne, krańcowe skrzydło rewolucji.

Tym razem był szczęśliwszy: siłą swego autorytetu i popularności przeprowadził zamianę monarchii absolutnej na republikę, ale na monarchję konstytucyjną, wskazując jako na króla, na księcia Ludwika Filipa Orleańskiego i wołając: — To jest lepsze, niż wszelka republika! W roku 1834 — w przeświadczeniu dokonania dzieła swego życia: uzyskania konstytucji dla Francji i zachowania monarchii zmarł w przedwczesnym wieku, otoczony cziłą powszechną (p. t.)

Huculszczyzna i jej mieszkańcy

Potężne pasmo Karpat wschodnich — ta naturalna granica Rzplitej na południu, wznosi się dumnie zwartymi szczytami ponad polską niziną. W górskiej tej panoramie, w partii wysuniętej najdalej na podniowy-wschód, wyrasta masyw Czarnohory — najpotężniejsze pasmo w tej części Karpat przebiegające na przestrzeni zwyż 20 km., z północnego zachodu, ku południowemu wschodowi przechodząc stopniowo w Góry Czerwoczańskie.

Piękna ta połać polskiego kraju — nazwana Huculszczyzną, od zamieszkałych tam g'rali karpaccich, zwanych huculami, kryjąca w sobie niezrównane piękno przyrody, wspiera się na południu o szczyt Pop Iwana (2026 m.) i Howerli (2057 m.) na północy. Czarnohora opada ku pn. charakterystycznymi kottami południowcami oraz pocięta jest rynnami dolin, dzięki czemu zyskuje bardzo na malowniczości i odrębności krajobrazu, w odróżnieniu od innych części Karpat.

Na północno-wschodnim zboczu Czarnohory, po stronie Polskiej znajdują się źródła Prutu, oraz lewobrzeżne dopływy Czarnego Czeremosza: Pohorylec, Dżembronja, Bystrzec, Przełomy Prutu i Czarnego Czeremosza stanowią wejściowe wrota, w najwyższy i najbardziej zagadkowy świat górski Polskich Karpat wschodnich.

To też nie dziw, że Huculszczyzna jest przedmiotem coraz silniej rozwijającej się turystyki. Piękne głębokie jary, oraz dolina Prutu, toczącego niespokojne i burzliwe fale, jest terenem, na przestrzeni którego rozsiadły się gęsto miejscowości klimatyczne i letniskowe, licznie odwiedzane przez miłośników gór tak w porze letniej jak i zimą.

Łatwy dostęp do tej połaci krainy górskiej otwiera linia kolejowa Stanisławów — Woronienka, przebiegająca na szlaku od Delatyna do Wrochty dolina Prutu. Linia ta uchodzi w Polsce za jedną z najpiękniejszych, dzięki panoramie górskiej jaka rozciąga się z okien wagonów, oraz licznie spotykanym po drodze wiaduktom kamiennym, z których słynny wiadukt w Jaremczu o łuku rozpiętości 65 m. stanowi osobliwość światową.

Poza niezmiernym bogactwem piękna przyrody jakie spotykamy na każdym kroku na Huculszczyźnie, również wielką atrakcją dla turystyki stanowi ludność tubylcza, która dzięki stwoistym warunkom bytu, wytworzyła odrębny charakter we wszystkich przejawach życia, a więc: w budownictwie, zdobnictwie, obrzędach itp.

Huculi — jest to pod względem antro-

pologicznym ludność mieszaną, która wytworzyła się dzięki skrzyżowaniu Polaków z Wołochami, Węgrami, Ormianami, Rusinami i Cyganami. Przewaga krwi Wołoskiej i Ruskiej dominuje wśród ludności tubylczej wpływając na jej charakter. Kolebką Huculszczyzny są doliny Czeremoszów, skąd huculi rozprzestrzenili się na południowo-wschód, odcinek Baskidów Wschodnich, obejmujący powiat kosowski i kołomyjski.

Również znaną odrębność huculską występują szczególnie w Zabiem, Dżembrowni i Worochcie. W miejscowościach tych spotyka się najciekawsze typy huculskie. Odrębność polską tak w poczuciu narodowym jak i w mowie, zachowali Huculi w powiecie kosowskim w gminie Szeszrach i w powiecie kołomyjskim w gminie Berezowie Niżnym.

Na specjalną uwagę zasługują osiedla huculskie, stanowiące odrębny i tylko Huculom właściwy folklor. Sięgają one do wysokości zwyż 1400 m. n. p. m. i stanowią każde dla siebie odrębną całość. Osiedla te — składające się z chaty, zabudowań gospodarskich, pastwiska, pola, lasu i sianożęcia (zwykle wszystko to razem w komplecie) porozrzucone są w jedno od drugiego w znacznej odległości. Brak więc na Huculszczyźnie osadnictwa zbiorowego, co tłumaczy się fizjografią miejsca a więc rozwojem łak i pastwisk na stokach niskich grzbiętach górskich, z czym idzie w parze rozwój hodowli bydła.

Na Huculszczyźnie spotykamy się też z t. zw. osadnictwem sezonowym, służącym drobnej kulturze rolnej, a to uprawie owsa, jęczmienia, lnu i ziemniaków.

Bardzo ciekawe i charakterystyczne jest huculskie budownictwo, zasługujące ze wszech miar na uwagę. „Bogactwo motywów, cech pierwotności i dążności do pojętego w sposób swoisty komfortu, niezrównane” — jak pisze doskonały znawca Huculszczyzny H. Gąsiorowski w „Wiercach” z r. 1933, zaciękawia, i stanowi bardzo miły teren dla badań poświęconych ludowemu budownictwu.

Wielka skłonność do zdobnictwa, jest również jedną z cech charakterystycznych Huculszczyzny. Zdobnictwo to spotykamy na każdym niemal kroku. Niema prawie przedmiotu, któregoby hucul nie ozdabiał. Jako przykład posłużyć może to, że nawet takie przedmioty jak drzewce od kosy są zdobione. Wielkie bogactwo motywów zdobniczych spotykamy w wyrobach ceramiki huculskiej, w snycerstwie (w drzewie i mosiądzu), w wyrobach z rogu, w częściach ubioru (kaptury, serdaki, „manty” i „gugle”, wyszywki na rękawach kossul), dalej na pisankach,

oraz we wszystkich prawie przedmiotach codziennego użytku.

Zdobnictwo huculskie posiada swoje motywy oparte na wzorach i figurach geometrycznych.

Głównym środkiem utrzymania huculi jest chów bydła, uprawiany w dwójakiej formie: w obrębie osiedla i na poloninach. Ważnym przejawem życia gospodarczego jest tworzenie przez huculów gospodarki mlecznej opierającej się na pierwotnych sposobach organizacji. Głównym zaś produktem gospodarki poloninowej jest wyrób bryndzy.

Drugą połowę utrzymania huculów przez chów bydła stanowi praca w lesie — zimą zwózka drzewa saniami, latem spław drzewa Czeremosz. W końcu charakterystyczne i ciekawe obrzędy religijne związane z okolicznościami uroczystościami, jak wasale, chrzciny, i t. p. oraz śpiewy i tańce, przedstawiają w całości pierwszorzędną atrakcję dla turysty i wybijają się na plan pierwszy osobliwości, nie tylko Polskiej, ale i Europy.

To też zapoczątkowana przed wojną przez P. T. T. akcja nad podniesieniem turystyki na Huculszczyźnie, przerwana w okresie wojny znalazła obecnie swój wyraz w Towarzystwie Przyjaciół Huculszczyzny, dzięki któremu niewątpliwie rozwinię się turystyka w tej części Karpat wschodnich w czem pójdzia w parze rozwój dobrobytu na Huculszczyźnie.

Tegoroczne „Święto Huculszczyzny” urządzone przez Tow. Przyjaciół Huculszczyzny, które odbędzie się w dniach 7 i 8 lipca br. w Zabiem i Worochcie, a więc w dwu środowiskach rdzennie huculskich, również da możliwość poznania tanim kosztem jak najszerszym warstwom społeczeństwa, piękna i uroku Huculszczyzny.

Tadeusz Kwaśniewski.

Wyjeżdżając na letnisko zabierz ze sobą najlepszego przyjaciela, którym jest radio. Wieczorem lub podczas deszczowej pogody nie pozwoli się nudzić tobie i twojej rodzinie.

„Szlachetne zdrowie — nikt się nie dowie jako smakujesz — aż się popsujesz...” Podobnie rzecz się ma z radjem. Dopiero po rozstaniu się z nim rozumiemy, cośmy z nim utracili.

Czekoladki lub kwiaty, podarowane na imieniny, szybko zostaną zapomniane. Jeden tylko odbiórnik radiowy zawsze będzie przypominał tego, od kogo pochodził.

„Szkoła twórcza” a „Szkoła tradycyjna”

Niektórzy nowsi nauczyciele dzisiejszych szkół powszechnych i średnich, — powiększej części pochodzenia żydowskiego, — wychowani w „Ognisku” na „Ruchu pedagogicznym” — „Ogniwie” i t. p. organach o zabarwieniu politycznym, radykalno-socjalistycznym — a nawet komunistycznym, — wzorując się na zagranicy, wywiesili hasło zaciętej walki z dotychczasową szkołą, którą nazwali „tradycyjną”, — i jej systemem nauczania. Pozornie opierając się na niemieckiej „szkole pracy” i filozofii Rousseau’a Locke’a, Trentowskiego, Hoene-Wrońskiego i innych, nauczających o zdolnościach „twórczych” człowieka, które ze sobą jako „Dziecie Boże” na świat przynosi, — nazwali swoje dążenia nowatorskie na polu wychowania „szkołą twórczą”, w przekonaniu, że „szkoła tradycyjna” nie tylko nie tworzy — ale nadto wrodzone zdolności dziecka w niem zabija. Ci twórcy nowego typu wychowania obywatela nowego społeczeństwa i państwa — dążą do zburzenia szkoły tradycyjnej i zbudowania na jej gruzach nowej — „szkoły twórczej”...

Że przez „szkołę tradycyjną” rozumieją oni szkołę dotychczasową, opartą na religii chrześcijańskiej i wzorach klasycznych, zaczerpniętych z historycznej tradycji, a nie z czasów obecnych, które jeszcze wzorów nie mają, — szkołę mającą za podstawę etykę chrześcijańską z wszystkimi jej nakazami i zakazami, wpajaną głównie metodą dedukcyjną, co nie odpowiada ich założeniom i dążeniom społeczno - politycznym w duchu Marksa, Kautskiego i Lasala, — widząc to z ich każdego słowa i postąpienia w kierunku „szkoły twórczej”, którą z największym pośpiechem i hałasem budują...

Dla upozorowania swych niby to patriotycznie - religijnych celów dla dobra „rodziny — społeczeństwa i państwa”, — a temsamem maskowania swych socjalistycznie - politycznych dążeń, powołują się w swych pseudonaukowych wywodach na religię chrześcijańską — boskie pochodzenie człowieka i jego utajonych sił duchowych — na filozofów wychowania tej miary jak Plato, Rousseau, Locke — na francuskich, szwajcarskich, angielskich, niemieckich, szwedzkich, duńskich, amerykańskich, belgijskich, czeskich, polskich, — a nawet fińskich i rosyjskich pedagogów, — na różne systemy wychowania „twórczego”: Pestalozziego, Deweya, Decrolyego, Pankhurstowy i t. p., byle tylko społeczeństwo polskie przekonać, że dotychczasowe, chrześcijańskie i katolickie zasady wychowania i kształcenia, choćby na religii oparte, nie mają racji bytu i są głównym powodem dzisiejszego moralnego i materialnego kryzysu.

Że co innego mówią i piszą, — a co innego mają na myśli, — z tem zdradzają się na każdym kroku. I tak wszędzie głoszą, że podstawą wychowania i nauki nowej szkoły — „twórczej” — ma być praca fizyczna i umysłowa, a tymczasem usuwają w przeprowadzeniu tego zadania wszelką egzekutywę, opartą na nakazie i zakazie, — wszelki przymus, moralny i fizyczny, — wszelką planowość i podział pracy, — wszelkie naśladowanie dobrych i szlachetnych przykładów, zaczerpniętych z historycznej tradycji. W ich przekonaniu dziecko ma uspić w sobie siły, duchowe i fizyczne, samo ze swej jaźni wydobywać. Dziecko — ma „tworzyć”, a nauczyciel ma tylko pomagać mu w jego tworzeniu samego siebie, — swej rodziny, — swego społeczeństwa — i państwa....

Gdy się słyszy i czyta te dziecinne rozumowania „filozofów” i „wychowawców” „nowej ery” — „nowego kierunku” — „szkoły twórczej”, wierzyć się prościej nie chce, że to mówią i piszą ludzie uczeni, co przecież wyszli właśnie z tej szkoły tradycyjnej, na którą dzisiaj ujadają. Wobec albo się w tej szkole tradycyjnej nie uczyli, przechodząc z gimnazjum na uniwersytet, — z semi-

narjum na posadę, zdając matury, — egzamina, — doktoraty, — albo w czasie wojny o tem, czego ich szkoła tradycyjna nauczyła, — z rozmysłu zapomnieli, mając utopie socjalistyczno-bolszewickie, — walkę z religią katolicką i jej zasadami wychowania, — na pierwszym planie, w czym im głównie pionierzy tego kierunku — z pochodzenia żydzi — przewodniczą.

I cóż oni zarzucają szkole tradycyjnej? Zarzucają bardzo wiele: że mało się liczy — albo wcale nie — z utajonymi siłami duszy dziecka: z jego jaźnią, — z jego strukturą duchową, z jego instynktami, — popędami — zainteresowaniami itp. wrodzonymi zdolnościami, że się te wszystkie naturalne skłonności, — odziedziczone i nabyte, — w dziecku tłumi różnymi nakazami i zakazami z zewnątrz wpojeniem, że się w nauczaniu stosuje metodę dedukcyjną — wykładową, — zgóry narzucającą dziecku różne morały, których dziecko nie rozumie, — że nauczyciele ciągle trzymają się na-przód obmyślanego planu naukowego — podręczników szkolnych, że pytają — egzaminują uczniów — słowem, że posługują się głównie teorią, a nie praktyką i w dziecku hamują, — ograniczają jego swobodę we wszystkim i t. d. — i t. d. — bez końca.

Wziamian zaś za to żądają: aby dziecko, od 3 roku życia począwszy — samo kierowało swoim wychowaniem i kształceniem się, samo stawiało nauczycielowi pytania, samo wybierało sobie tematy do rozmowy — zabawy — i pracy, samo obierało sobie praktyczne zajęcia, samo tworzyło sobie pojęcia moralno - estetyczne, a później — gdy dorosnie — zasady życia, rodzinnego, społecznego i państwowego, żeby to dziecko samo „tworzyło” swoje własne życie, — „życie radosne” — „wiecznego szczęścia”....

Rodzice i nauczyciele mają tylko to dziecko obserwować, — prowadzić, — towarzyszyć mu i odpowiadać na liczne jego pytania, — tak samo, jak robili starogrecy „paidagogoi”, którym Bogowie za karę powierzyli to „twórcze” wychowanie — albo późniejsi, różnego rodzaju guwernerzy, — rektorzy, — nauczyciele domowi, — znani dobrze i u nas na dworach dawnej szlachty polskiej, głównie pod zaborem rosyjskim, gdzie wychowankowie swym nauczycielom chodzili po głowach — a czasami — i po twarzą bili... Dziecku — nie wolno nic powiedzieć, broń Boże — dotknąć się go, albo różgą ukarać...! W szkole twórczej wszystkie kary, — napomnienia, — morały, — są niedopuszczalne.

Doprawdy, czytając te wszystkie pseudopedagogiczne wywody twórcy nowej szkoły — nowego kierunku wychowania na temat jaźni — psychiki — struktury duchowej dziecka itp. „twórczych” odkryć i wynalazków w jego naturze: nie wiemy, czy śmiać się, — czy płakać nad duchowym upadkiem tych biednych, — wielce zarozumiałych, — ludzi! Bo czyż możliwa jest rzecz wychować dziecko małe i jeszcze całkiem nierozwinięte, które dopiero zaczyna siebie i otoczenie poznawać, które nad swoimi wrodzonymi instynktami — zachowaniami — upodobaniami — zapałaniami bez odpowiednich wskazań, — pouczeń, — przykładów, — perswazji, — gróźb, — a nawet czasem potrzebnej kary — ze strony swych rodziców, opiekunów i wychowawców, nie potrafi?!

Pozostawić dziecko takie jego własnej „psychice”, — własnemu doświadczeniu, którego jeszcze nie nabyło, — własnemu wyborowi środków do życia i samokształcenia się, żeby samo zaczęło być mądre — robiło próby i doświadczenia — marnowało czas i młodociane swe siły, a my, żebyśmy się temu tylko przypatrywali, jak ono się morduje, — i nazywać to potem „tworzeniem człowieka — rodziny — społeczeństwa i państwa”: trzeba być albo cynikiem i drwić sobie wogóle z wychowania — albo być zupełnie pomyłonym na punkcie „szkoły twórczej”.

Wyobraźmy sobie 60—70 dzieci w

jednej klasie (bo obecnie inaczej być nie może) — wedle „szkoły twórczej” chłopcy pospół z dziewczętami, systemem koedukacyjnym — i wśród nich nauczyciela, a może nauczycielkę, — bez żadnego programu nauki — bez podziału godzin i określonego czasu rozpoczęcia i zakończenia nauki i pracy fizycznej metodą wzajemnej „współpracy” dla dobra „rodziny — społeczeństwa — i państwa” (co musi być wszędzie po ścianach szkoły uwidocznione), — bez podręczników szkolnych — tylko z małą teczką, a w niej papier, ołówki, kredki, nożyczki, piłeczka do rżnięcia drzewa itp. przybory do „pracy twórczej”, jaką sobie mali wychowankowie „upodobali”... bo narzucać im tematu nie wolno!... Wchodzą, co parę minut — inna grupa...

I każde z dzieci pragnie czego innego i o co innego się pyta nauczyciela, bo w klasie musi być zupełna swoboda — wolność, — równość, — braterstwo, jak w „szkolnej społeczności rodzinnej” — „wolny dobór pracy” wedle „utajonych sił” — zdolności — „in potentia”... Biedny nauczyciel, przejęty „ideą twórczą” wedle Hoene-Wrońskiego „absolutu”, biega po klasie — od dziecka do dziecka — i każdemu coś odpowiada na pytania, — udziela rady... Wtem nadchodzi nowa grupa uczniów — i rozpoczyna „pracę twórczą” — nożycami albo piłeczką... Kilka dziewcząt wyszło do ogrodu — i bawi się w piłkę...

Wreszcie wszyscy uczniowie i uczennice zaczynają się rozchodzić — do domu... Ograniczenie żadne nie istnieje, a więc i czasu nauki. Ostatni z klasy wychodzi — nauczyciel, ucieszony „tworzeniem” swoich wychowanków... Marzy o „Bożem - Dziecku” — o jego rodzinie — o społeczeństwie — i państwie...

A tu czas mija — i mija... Chłopcy i dziewczęta rosną — i rosną — a wiedzą im „twórczej” nie przybywa... A rodzina — społeczeństwo — i państwo — daremnie czekają na ich „twórczą” pomoc... Brak im najprostszych zasad rodzinnego i społecznego wychowania, — brak dyscypliny, — brak poszanowania rodziców, nauczycieli i wszelkich władz duchowych i świeckich, — brak poszanowania prawa Bożego i ludzkiego, — brak im wszelkich podstaw do życia w rodzinie — społeczeństwie i państwie! „Swoboda i wolność!” jest podstawą ich wychowania...

Ale na szczęście — tak źle jeszcze nie będzie. Większość polskich pedagogów o katolickim poglądzie na wychowanie młodych pokoleń, wyszedłszy właśnie z tej tradycyjnej szkoły, — oparta przez polskie duchowieństwo i rodziców do walki ze złem w naszej szkole, idącym do nas ze wschodu i zachodu, z politowaniem patrzy na krzykaczy „szkoły twórczej”, — rozumie dobrze ich intencje i robi swoje po dawnemu, wprowadzając z wielkim umiarkowaniem potrzebne zmiany dydaktyczne, należycie wypróbowane, stosownie do nowych warunków życia powojennego, które nie będzie wiecznie jednakowe — mądrze dopasowane — wedle zasady: „Nie odrazu Kraków zbudowano”.

„Szkoła tradycyjna”, gdybyśmy tę nazwę przyjęli, nie obrażając się wcale na jej twórców, — ma wielkie zasługi w życiu dzisiejszego człowieka, chrześcijańską kulturą się chępiącego. Oparta o najpiękniejszą tradycję swoich przodków, bohaterów, co życie swoje poświęcili za Wiarę i Ojczyznę, wcale nie zasługuje na bezlitosne zburzenie i rozsypanie w gruzy, jak tego chcą jej zapamiętali przeciwnicy. Nawet niemożliwym jest jej całkowite zniszczenie, bo zasady przez nią w ludzkość wszczepione są wiecznotrwałe, — przeszły w krew i kość wszystkich kulturalnych narodów. Najlepszy dowód, że sami twórcy nowej szkoły muszą głosić jej pierwotne zasady kulturalnego porządku społecznego, a obracają się tylko około nowych sposobów wychowania, które chcą z rodziców i katolickiego duchowieństwa przenieść na zlaicyzowanych

— politykujących nauczycieli, prowadzonych przez żydów i masonów francuskich na sznurku.

Jeżeli „szkoła tradycyjna” w czem rzeczywiście niedomaga — to chyba w tem, że zbyt zawiele przeładowuje umysły swoich wychowanków teoretycznymi wiadomościami, — a zamało wpaja w nie zamilowania do pracy praktycznej i celowej dla dobra — rozumie się, szlachetnego — rodziny — społeczeństwa i państwa w duchu chrześcijańskiej etyki. Wychowanie i kształcenie młodocianych pokoleń naszego narodu — nie powinno być jednostronne: ani zbyt w kierunku kształcenia ciała wysunięte, — ani tylko na kształceniu ducha jedynie oparte, ale powinno zająć miejsce środkowe, gdzieby oba kierunki były reprezentowane w myśl greckiej i rzymskiej zasady: „kallós kai agathós” — „mens sana in corpore sano” — pod względem ciała: piękny i zdrowy — a pod względem ducha: dobry i szlachetny.

Ta sama jednostronność nie powinna mieć miejsca w metodycznej dydaktyce. Ani sposób dedukcyjny, — ani indukcyjny: heurystyczny — analityczny — poglądowy — nie powinny być wyłącznie stosowane, ale wszystkie wedle potrzeby; a o ile idzie o oszczędność czasu nauki danego przedmiotu szkolnego i pojętność ucznia, najlepiej nadaje się metoda dedukcyjna, — wyprowadzająca ucznia od ogólnej zasady do szczegółów danego zagadnienia.

Ogólnych zasad, zawierających niezbitę prawdy, udowodnione wiekami i doświadczonych przez całe narody, nie wolno lekceważyć i niemi pomijać we wychowaniu młodzieży. Na kształcenie silnej woli, — pokonywanie trudów itp. przykości życia, — zwłaszcza w wykonywaniu pracy fizycznej, — powinno się kłaść główny nacisk. Swoboda, — wolność w doborze opracowań pewnych zagadnień życiowych, — winna być uczniom do pewnego stopnia dozwolona — w myśl łacińskiego przysłowia: „Non scholae — sed vitae discimus”; — ale i przymus — nakazy i zakazy — fizyczne i duchowe — mniejsza o formę — winny mieć swoje zastosowanie w odpowiedniej chwili.

Łacińska metoda: „Disce saltando!” może mieć zastosowanie we wychowaniu na najniższym stopniu — przed 3 rokiem życia — ale już później powinna ją zastąpić: „Disce — et labora!” „Ora — et labora!” Rodzice i nauczyciele, co bawią i rozpieszczają swych wychowanków, — co im przez życie wskazują drogę różami wysłaną, a zakrywają przed nimi drogę cierniową, jaka ich w rzeczywistości czeka, — dopuszczają się na nich okrutnej zbrodni, bo im odbierają wzrok — i siłę do walki z życiem, jego przeciwnościami, których w młodości nie poznali. Życie temu jest piękne i miłe, kto potrafi walczyć z jego trudnościami i zachować przytem swój czysty i niesplamiony charakter, — wyjść z tych trudności zwycięsko. A jak należy pokonywać wszelkie trudności życiowe, powinna się o tem dowiedzieć nasza młodzież w pierwszym rzędzie od swych rodziców i nauczycieli, — i to jest głównym zadaniem polskiej szkoły we wszystkich jej stopniach nauki, opartej o pracę fizyczną i umysłową.

Eksperymentalne szkoły: czy to typu francusko - belgijskiego, czy amerykańsko - rosyjskiego, — a nawet niemieckie, szwajcarskie, szwedzkie i t. p., o ile nie pójdą po linii wyżej nakreślonej we wychowaniu dziecka, t. j. po linii środka, — nie powinny być traktowane inaczej, jak tylko jako zakłady badawcze na polu wychowania i szkolenia dzieci, — a zasady przez nie głoszone należy przyjmować bardzo ostrożnie, z należytą rozwagą i rozumem, — tak jak się przyjmuje obcy towar mody i obnośnego handlu, które — jak wiemy, — są dotąd w rękach żydów i ich dobrze opłaconych przyjaciół... Eksperymentować można — ale nie kosztem polskiego dziecka.

Marcin Snop

Od zegarów piaskowych do mówiących

Daremnie trudziłobyśmy się dziś nad rozwiązaniem zagadnienia, kiedy i gdzie pojawiły się pierwsze instrumenty służące do mierzenia czasu.

Prawdopodobnie i na tem polu pierwszeństwo należy się żółtej rasie, — jak bowiem wynika ze starych dokumentów Chińczycy znali zegary słoneczne, piaskowe i wodne już na trzy tysiące lat przed Chrystusem. Zdołali nawet dojść w inwencji dość daleko, skoro wyrabiali kieszonkowe zegary słoneczne, przypominające z kształtu mały ozdobny sztylcek, zaopatrzony w gardę, której cień padał na ostrze, wskazując na umieszczonej na niem skali, ile jeszcze godzin pozostawało do zachodu słońca.

Te same systemy zegarów przetrwały też przez długie wieki w świecie starożytnym.

W roku 600 przed Chryst. spotykamy wzmiankę o zegarach wodnych w Assyrii, w r. 560 buduje Anaximander w Grecji zegary słoneczne (zwane „gnomos”), które spotykamy też i w Rzymie w III wieku przed Chr.

Pierwszym „zegarmistrzem” wynalazcą był niejaki Ktesibios, syn ateńskiego balwierza, żyjący na sto lat przed naszą erą.

Opowiada obszernie o jego różnorodnych wynalazkach Marcus Vitruvius Pollo, budowniczy, między rokiem 16-13 przed Chr., w swych „Dziesięciu księgach o architekturze”. Ktesibios potrafił już konstruować zegary okrągłe, zaopatrzone w tarczę z dwunastogodzinną podziałką, a poruszane wodą, spływającą z jednego naczynia do drugiego, niżżej umieszczonego.

Wspomina też Vitruvius o zegarach, wybijających godziny, oraz o zegarach grających.

Najpowszechniej używanymi były zegary wodne — i to często zaopatrzone w różne wymyślne, ruchome figurki.

W sztuce tej celowali przede wszystkim Arabowie.

Osobliwością w swoim rodzaju był niesłychanie kunsztowny zegar wodny, którego ukryty mechanizm poruszał szeregi rzeźbionych figurek. Zegar ten otrzymał w r. 807 po Chr. Karol Wielki od Harun-al-Raszyda.

Pierwszy zegar z mechanizmem kołowym konstruuje w r. 850 po Chr. Pacyficus z Werony. Dalszym ważnym ulepszeniem było dodanie do niego ciężarków, co jest zasługą Gerberta z Rheines (r. 980).

W początkach XIV wieku pojawiają się pierwsze zegary wieżowe w Medjolanie i w Strassburgu. Z końcem tegoż wieku (1497) buduje też Ambrogio dalle Ancore ów słynny zegar z dwoma, naturalnej wielkości, murzynami, wybijającymi godziny, na Torre del Orologio w Wenecji.

Zegarki kieszonkowe pojawiają się z początkiem XVI wieku w Norymberdze, wywołując olbrzymią sensację. — Konstruktorom ich jest ślusarz, Piotr Henlein. Niestety — do naszych czasów nie dochował się ani jeden okaz tej jego roboty, wiadomo nam tylko, że były to zegarki duże, owalne, sprężynowe, nie odznaczające się zgoła regularnym chodem.

W następnych latach przemysł zegarmistrzowski rozwija się bardzo silnie. Pojawiają się budziki, zegary stojące, nieraz bardzo kunsztownie wykonane, zegary ściennie, dalej zegarki we formie breloków, pierścieni itp.

Dalszem, zasadniczym ulepszeniem zegarków kieszonkowych było wynalezienie tzw. „włosa”, drobnego, a niesłychanie ważnego elementu w ich budowie.

Zasługę tego wynalazku przypisuje się powszechnie Francuzowi Hautefeuille i holenderskiemu uczonemu Chrystjanowi Huygens, którzy niemal równocześnie (1674—1675) ogłosili swe prace na ten temat.

Tymczasem zasługę tę winni oni podzielić z naszym rodakiem, ks. Adamem Kochońskim, który, będąc z zamiłowania mechanikiem i konstruktorem, już na parę lat przedtem wprowadził w konstrukcji zegarków identyczne ulepszenia.

Dużo interesujących szczegółów o tym polskim amatorze-zegarmistrzu zawiera dzieło Fel. Kucharzewskiego „Piśmiennictwo techniczne polskie”, tom II (r. 1921), oraz praca inż. Eug. Porębskiego „Wielcy twórcy nauki” (wyd. Trzaska, Evert i Micholski).

Ks. Kochański (1631—170) był najpierw profesorem w zagranicznych kolegiach jezuickich, następnie zaś bibliotekarzem króla Jano II. Opublikował w języku łacińskim w roku 1664 (a więc przed pojawieniem się pracy Huygensa)

w dużym dziele Sshotta „Technica curiosa sive mirabilio artis” specjalną rozprawę o zastosowaniu przy zegarach wahadłowych ciężarów służących mających do naciągania zegarów, — tak, jak to podane zostało później na rysunku Huygensa. W roku zaś 1672 wbudowuje do zegarka ów „włos”, regulujący ruch wahacza.

Toteż pisząc o historii zegarów, nie można pominąć osoby ks. Kochańskiego, niesłusznie zapomnianego, wybitnego uczonego i mechanika, który jako miła rozrywkę, nie starając się ani o wyciągnięcie z tego jakichkolwiek korzyści materialnych, ani o rozgłos i sławę.

Rok 1842 przynosi dalszą zasadniczą nowość: Adrien Philippe konstruuje pierwszy zegarek-remontoir, dzięki czemu znikają pomału kluczyki służące do nakręcania zegarków kieszonkowych.

Od tego czasu fabrykacja zegarków idzie olbrzymimi krokami naprzód, a każdy niemal rok przynosi świeże ulepszenia, zgodne z wymaganiami i duchem czasu.

Tanie, masowo fabrykowane zegarki wystarczają nam w życiu codziennym, ale nie mogą spełnić należycie swej roli

tam, gdzie idzie o najdokładniejsze oznaczenie czy obliczenie czasu z dokładnością jednej setnej sekundy. Dlatego też chronometry, mające tak rozległe zastosowanie np. w sporcie, podlegają skrupulatnemu badaniu przed wypuszczeniem ich na rynek. Badanie takie trwa z reguły 44 dni, przyczem zegarek ustawia się kolejno w najrozmaitszych położeniach, próbuje na działanie ciepła i zimna, na sposoby naoliwienia, na wstrząsy, wpływy magnetyczne itp.

Ostatnim wreszcie wynalazkiem na tem polu są „zegary mówiące”, wprowadzone już np. w Paryżu, gdzie każdy abonent telefoniczny może o każdej porze połączyć się z obserwatorium paryskim i otrzymać stamtąd najdokładniejszy czas. Jest to pomysłowe połączenie mechanizmu zegarowego z filmem dźwiękowym, a aparat jest zbudowany w ten sposób, iż może równocześnie odpowiedzieć na dwadzieścia zapytań telefonicznych.

Wspomnieć wreszcie należy o samopiszących chronografach, w których dzięki komórce fotoelektrycznej automatycznie zapisuje się np. godzinę przejazdu każdego wozu, co jest rzeczą bardzo ważną przy rozmaitych imprezach wyścigowych itp.

(R.)

Instytut Hertza w Berlinie

Cala współczesna fizyka stoi pod znakiem badania zjawisk wibracyjnych odgrywających dominującą rolę zarówno w akustyce, jak w optyce, radio i elektryczności i w ich zastosowaniu praktycznym.

Taksamo i mechanika liczyć się musi przy budowie maszyn ze zjawiskiem wibracji, nie pozostając bez wpływu na ich należyte i sprawne funkcjonowanie.

Otóż wszystkie zjawiska wibracyjne — bez względu na ich pochodzenie — podlegają pewnym fundamentalnym, a identycznym prawom.

Ta okoliczność właśnie była myśłą przewodnią przy utworzeniu w Berlinie specjalnego instytutu, poświęconego wyłącznie studjom nad zjawiskami wibracyjnymi — instytutu nazwanego „Instytutem Hertza”, na cześć „Ojca” i odkrywcy fal Hertza.

Instytut ten, stojący na bardzo wysokim poziomie naukowym, wyposażony jest we wszelkie najbardziej nowoczesne urządzenia techniczne i zatrudnia cały sztab uczonych fachowców.

Obejmuje on pięć osobnych działów: elektrotechnika, telegraf i telefon, prądy wysokiej częstotliwości, akustyka i mechanika. Jak widać zakres prac instytutu jest bardzo obszerny i różnorodny.

Pomijając zagadnienia fachowe, omówimy prace tej instytucji na trzech specjalnych odcinkach: 1) walka z hałasem, 2) telewizja i 3) muzyka elektryczna.

Walka z hałasem, tą plagą współczesnego życia, jest zagadnieniem bardzo doniosłym. Począwszy od stukania maszyn do pisania aż do huków motorów samochodowych i potężnych maszyn elektrycznych — człowiek dzisiejszy przez cały dzień, aż do późnej nocy, wystawiony jest na ich działanie, co odbija się ujemnie na jego systemie nerwowym.

Jak wykazały liczne doświadczenia, szczególnie dotkliwie dają się we znaki tony wysokie, ostre przeciągłe, lub powtarzające się w krótkich odstępach czasu. Znacznie łatwiej np. przyzwyczai się ucho ludzkie i prędzej znosi jednostajne warczenie motoru, nie przeraźliwy gwizd syreny fabrycznej.

Badania Instytutu Hertza idą tu z dwóch kierunków: subiektywnym i ob-

iektywnym. Najprostszym i najskuteczniejszym byłoby usunięcie, względnie złagodzenie hałasu u samego jego źródła (maszyny do pisania, odkurzacze elektryczne, maszyny fabryczne itp.). Poza tem jednak można w znacznej mierze złagodzić ich działanie przez powlekanie ścian specjalnymi materiałami absorbującymi wszelkie dźwięki, jak „celotex” i inne materiały izolacyjne, — oraz przez odpowiednią budowę murów (dwie ściany z pełnych cegieł, między nimi izolacyjna warstwa powietrza).

W dziedzinie telewizji prace instytutu zmierzają w pierwszej linii do znalezienia takiego urządzenia, któreby umożliwiałoby transmitowanie obrazów w znacznie większym formacie, niż to dotychczas ma miejsce, oraz do znalezienia odpowiedniego, silnego źródła światła, co dotychczas natrafiało na największe trudności.

Wniosując z dotychczasowych prac w tej dziedzinie można spodziewać się, że dzięki „Instytutowi Hertza” i to zagadnienie zostanie wkrótce rozwiązane w sposób zupełnie zadowalniający.

Niemniej ciekawe są badania instytutu w kwestji „muzyki elektrycznej”, których wyrazem był urządzony w lutym br. w Operze berlińskiej wielki „Koncert elektryczny”. Dzięki pracom instytutu na tem polu można z pomocą jednego tylko instrumentu muzycznego otrzymywać dowolnie dźwięki wszystkich instrumentów smyczkowych i dętych, aż do ksylofonu włącznie, — trzeba tylko drgnięciem elektrycznym nadać specjalną formę, odpowiadającą dźwiękowi odpowiedniego instrumentu. Rezultaty uzyskane przez instytut w tej dziedzinie otwierają szerokie, nowe perspektywy muzyce elektrycznej.

Na zakończenie podajemy interesujące zestawienie intensywności rozmaitych dźwięków — zestawienie sporządzone przez instytut na podstawie skrupulatnych pomiarów, — w skali 1 do 100.

Tak więc szmer wody wypływającej z kurka wodociągu wyraża się cyfrą 51, zwykła rozmowa — 59, huk jadącego samochodu — 64, tramwaju — 68, motocykla z tłumikiem — 75, dźwięk syreny fabrycznej — 92, ryk lwa — 101 i wreszcie huk motocykla bez tłumika — 102.

Jak z powyższego widać, Instytut Hertza ma bardzo rozległe i różnorodne pole pracy, a badania jego, jakkolwiek prowadzone przede wszystkim pod kątem widzenia ścisłej nauki i wiedzy, przyczynić się mogą wydatnie do rozwiązania licznych zagadnień, wchodzących w zakres codziennego życia całej ludzkości, interesujących również nowoczesną technikę i przemysł.

Instytut, założony w roku 1927, popierany jest i finansowany przez niemiecką Dyрекcję poczt, Radio, Dyрекcję kolei, Stowarzyszenie elektrotechników i wielkie firmy z przemysłu elektrotechnicznego. (N.)

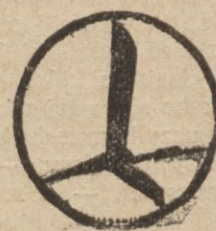
0 roku roślinnym

Podobnie jak świat zwierzęcy jest również i świat roślinny narażony na szkodliwe działanie rozmaitych czynników chorobotwórczych, jak grzybki, bakterie i rozmaite protozoa.

Jedną z charakterystycznych „chorób” świata roślinnego są duże narośle, występujące najczęściej u nasady łodygi, a przypominające pod wielu względami pewne charakterystyczne narośle rakowe u zwierząt i u ludzi.

Dzięki badaniom słynnego botanisty amerykańskiego, Erwina F. Smitha udało się wyodrębnić specjalne bakterie, powodujące tę chorobę roślinną. Bakterie te, nazwane „Bacterium tumefaciens”, można przeszczepić roślinom zdrowym a jak wykazały liczne doświadczenia, wywołują one u tych roślin po paru miesiącach typowe objawy „raka”, nawet z licznymi przerzutami.

Prace badaczy idą obecnie w kierunku wyszukania odpowiedniego środka uodporniającego rośliny na tę chorobę, wykazującą dużą analogię z rakiem u człowieka. (kr.)



Chcesz odbyć podróż
tanie - szybko -
wygodnie?
Leć samolotem!

